



Kryminał z myszką

86

Śmierć za karę

Anna
Kłodzińska

Anna Kłodzińska

ŚMIERĆ ZA KARĘ

Kryminał z myszką – Tom 86

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-52-5

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsze wydanie: MON, Warszawa 1990, seria „Labirynt”

Rozdział 1

Szkoda, że taka brzydka – pomyślał, spojrzawszy na kobietę, która usiadła po drugiej stronie biurka. – Oczywiście, sekretarka to nie żona, przyglądać jej się nie musi. Zawsze jednak... No, trudno.

– Zaświadczenie z poprzedniej pracy ma pani znakomite – zauważył życzliwie. – Właściwie dlaczego pani stamtąd odeszła?

– Tak mi się ułożyły sprawy osobiste, panie dyrektorze. Mego męża przeniesiono do Warszawy, więc i ja nie mogłam sama mieszkać we Wrocławiu. Trudno prowadzić dwa domy.

Głos miała cichy, dykcję dobrą. Siedziała prosto, patrząc na niego z uwagą. Raz tylko przelotnym spojrzeniem obrzuciła wielki, trochę mroczny, gabinet.

– Pani kwalifikacje – dotknął leżących przed nim dokumentów – daleko odbiegają od przeciętnych. Angielski, niemiecki i francuski w mowie, i piśmie, stenografia, maszynopisanie, studium handlu zagranicznego, kurs obsługi komputerów. Na miłość boską, kiedy pani zdążyła to zrobić? – roześmiał się. – Przecież pani ma zaledwie... ile to?

– Dwadzieścia siedem lat.

Przyglądał się jej z niedowierzaniem. Wyglądała na starszą. Może przez to uczesanie jakieś takie staromodne. Ładne, gęste włosy brązowego koloru, przypominające dojrzale kasztan, zwinięte w koronę. Kto tak się teraz czesze? Twarz szczupła, blada, bez makijażu, rysy nijakie, oczy ukryte za dużymi okularami, chyba niebieskie. I ten czarny sweter troszkę wytarty na łokciach, i biały kołnierzyk; spódnica też czarna. Jeszcze interesantów wystraszy.

– Na ogół nie wymagam od personelu, aby chodził w uniformie czy fartuchu – powiedział żartobliwie. – Prosiłbym jednak, aby do pracy nie ubierała się pani na czarno. Bardzo nie lubię tego koloru. Chyba nie jest pani w żałobie?

– Nie, panie dyrektorze – zaprzeczyła żywiej. – Czy to znaczy, że jestem przyjęta?

Skinął głową. Zerknął na zegarek, już się spóźnił do ministerstwa.

– Jak pani na imię?

– Irena, panie dyrektorze. Irena Holzer.

– A więc, pani Ireno, proszę zgłosić się jutro o ósmej w sekretariacie. Na razie – zastanowił się chwilę – przez pierwszy miesiąc będzie pani pracowała razem ze swoją poprzedniczką, która odchodzi na emeryturę. Potem obejmie pani kierownictwo sekretariatu.

Wstał, podał jej rękę. Grunt to kwalifikacje – pomyślał. – A twarz? No, takie straszycło to znowu nie jest. Jakoś to będzie.

Na korytarzu zatrzymał go kadrowiec.

– Spiesz się! Później, panie Henryku – usiłował wyswobodzić połę płaszcza z ręki tamtego.

– Ale, panie dyrektorze, ile jej płacić przez próbny miesiąc? Tej Holzerowej?

Dyrektor Strzemiński zirytował się.

– Sam pan powinien wiedzieć. Uzgodnijcie to z finansowym. Zostaw pan mój płaszcz!

Zbiegł po schodach, otworzył służbowego poloneza. Kierowcę zwolnił pół roku temu, gwoli oszczędności, a bardziej dlatego, że po prostu lubił prowadzić wóz.

Narada w ministerstwie opóźniła się z niewiadomych przyczyn. Kiedy Strzemiński zdyszany wbiegł na pierwsze piętro, drzwi do sali konferencyjnej były jeszcze uchylone, a kilka osób stało w korytarzu, pałąc i rozprawiając. W tym samym niemal momencie pojawił się wiceminister i dyskutujący śpiesznie pogasili papierosy. Zebranie trwało niewiele ponad godzinę, przy czym pierwszym i ostatnim jego punktem było przedsiębiorstwo TAR-4, którym kierował Lucjan Strzemiński. Wiceminister, kończąc obrady, patrzył na niego przez chwilę spod okularów, a potem powiedział:

– Tak więc, kolego dyrektorze, przerzucamy na barki cały ciężar odpowiedzialności za wykonanie trudnych zadań. Po likwidacji dwóch przedsiębiorstw, które od blisko roku grzęzły w skandalicznym deficycie, TAR-4 pozostaje w naszym resorcie czołową jednostką w branży optoelektroniki.

Strzeмиński lekko pochylił głowę, jakby ugiął się pod tym „ciężarem”, ale twarz miał pogodną. Od dawna wiedział, co go czeka, zdążył się więc już z tą myślą oswoić. Poza tym całe życie był optymistą. Po wyjściu z gmachu ministerstwa postanowił jednak, że zanim weźmie na swoje barki to, co mu wyznaczono, odpocznie sobie przy dobrze zastawionym stole. Dlatego, nie zważając na kąśliwe lub współczujące słowa kolegów, pognął polonezem do „Forum”, gdzie zaszył się w głębi sali restauracyjnej, sam, bez towarzystwa, a zatem bez potrzeby gadania i plotkowania o byle czym. Chciał jeść.

Ktoś tę samotność widać uszanował, bo dopiero kiedy już przy kawie zapalał papierosa, podszedł do jego stolika.

– Można?

Dyrektor rzucił okiem na przybysza i odparł powściągliwie:

– Proszę.

Tamten siadł, poszukał wzrokiem kelnera, zamówił kawę. Przez parę minut milczeli, a potem Strzeмиński rzekł irytacją:

– Chciał pan coś? Bo muszę jeszcze wrócić do zakładu.

– Tylko pogratulować.

– Czego? Nie awansowałem przecież. Orderu też nie dali.

– TAR-4 zyskuje na znaczeniu – powiedział przybysz. – Wiele roboty, wielka odpowiedzialność.

– Już pan to wie? – zdziwił się, bo narada była przecież tajna. Jego rozmówca uśmiechnął się. Był średniego wzrostu, silnie zbudowany, z dużym nosem i głęboko osadzonymi, jasnymi oczami. Wyraz tych oczu był nieodgadniony.

– Powinniśmy się spotkać. Porozmawiać – odparł wymijająco. – Wprowadził pan ostatnio nową metodę spektroskopową opartą...

– Pan jest nieostrożny! – przerwał Strzeмиński i rozejrzał się z niepokojem po sali. – Tutaj nie będziemy o tym dyskutować.

– Nikt nas nie słyszy. Chodzi mi o zjawisko samoogniskowania się promieniowania laserowego, mówiąc w skrócie. Pracuje nad tym w TAR-4 kilku zdolnych ludzi. Bardzo zdolnych – powtórzył i umilkł, jakby czekał na coś.

– Ma pan na myśli docenta Lewickiego?

– Nie. Chodzi mi raczej o młodszych. Ot, powiedzmy, magister Wesołowski. Albo Grażyk. Albo ten dwa lata temu przyjęty inżynier Burzyński.

– Świetnie pan się orientuje w naszym zakładzie – zauważył dyrektor z przekąsem. – Mnie pan też przenicował?

– Och, to zrobiłem już dawno – roześmiał się. – Zaryzykowałbym twierdzenie, że pańska osobowość nie ma dla mnie tajemnic.

– To jest, daruje pan, szczyt zarozumiałości! – Strzeмиński był oburzony. – Więc czego pan właściwie chce? Teraz, tutaj?

– Chciałbym się upewnić, czy ci pańscy koledzy i jednocześnie podwładni są wartościowym elementem. Czy pan ich zna, tak naprawdę.

– Pracownicy TAR-4 to nie żaden element. To ludzie. Wykształceni, zdolni, przyzwoici. Pewnie, że ich znam. I doceniam. Sam pan zresztą przyznał, że są utalentowani. I, ostrzegam, niech pan się od nich trzyma z daleka! Nie dopuszczę, żeby... – Urwał, poczerwieniał z irytacji. – Zupełnie wystarczy, że ja...

Przybysz przyglądał mu się chwilę z zainteresowaniem, a potem powiedział ścisząc głos:

– A jeżeli nie wystarczy?

Wstał, rzucił dwie setki za kawę, dodał jeszcze pięćdziesiątkę, uklonił się i oddalił tak szybko, że dyrektor nie zdążył zareagować. Myślał potem, że właściwie żadna odpowiedź nie była tu potrzebna i tamten z pewnością jej nie oczekiwał. Wracając do zakładu czuł wzrastający niepokój. Zbudziło się w nim niejasne przeczucie, że czekają go poważne kłopoty. Nowa metoda, o której wspomniał gość przy stoliku, mogła okazać się rewelacją. Była ściśle tajna, supertajna, zastrzeżona i obwarowana, czym się tylko dało. Okazuje się – nie dla wszystkich. I dlatego takie zainteresowanie młodymi fizykami.

Budkowska obudziła się pierwsza. Miała lekki sen, byle co potrafiło go przerwać: Uniosła się na łokciach, nadśluchiwała. Ktoś zbiegł po schodach. W nocy kroki, nawet ciche, potrafiły zakłócić spokój dziesięciopiętrowego wieżowca budowanego z – ongiś rewelacji, dzisiaj udręczenia – wielkiej płyty.

Usłyszała stuknięcie drzwi frontowych, w chwilę później przed domem zawarczał samochód. Zaświeciła lampkę przy tapczanie, spojrzała na zegarek. Dziesięć po drugiej.

– Łażą po nocy jak koty w marcu – mruknęła. Popatrzyła na wtuloną w poduszkę łysawą głowę męża. Sapał i pochrapywał na przemian. Czasem myślała, że nie zbudziłaby go nawet salwa armatnia. Ziewnęła, aż jej w szczękach trzasnęło, obróciła się na drugi bok. Przysnęła, coś jej się nawet chyba śniło, kiedy poderwała się nagle, a serce załomotało z przerażenia. Na schodach działo się coś strasznego. Dolatywały stamtąd jęki, szuranie i kotłowanie.

– Bandyci! – krzyknęła. – Jasiu, obudź się! – Szarpnęła męża za głowę, bo miała ją najbliżej. – Nie śpij, słyszysz?

Chrapnął głośniejsze, otworzył oczy.

– Co się dzieje? – zamruczał. – Czemu robisz alarm?

– Posłuchaj! Tam ktoś jęczy.

– U nas, w mieszkaniu? – wytrzeźwiał momentalnie.

– Na schodach. Chyba pod naszymi drzwiami.

– Eee... – wzruszył ramionami – Pewnie jakiś pijak. Śpij.

Zaczął jednak nadśluchiwać. Teraz można było rozróżnić wyraźne jęki i jakby czołganie, i ocieranie się o ich drzwi. Butkowski westchnął, usiadł na tapczanie, poszukał pantofli.

– Trzeba zobaczyć – stwierdził niechętnie. – Bo nam napaskudzi na słomiankę.

– Uważaj! – krzyknęła. – Weź młotek albo co.

Spojrzał na nią z góry, miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i był kiedyś zapaśnikiem. Znany zapaśnikiem.

– Jeszcze moja ręka wystarczy za dwa młotki – powiedział nie bez dumy w głosie. – Kasiu, nie idź za mną! – poprosił.

Bała się, ale ciekawość przemogła. Stąpała bosymi nogami parę kroków za nim, na wszelki wypadek ściskając w ręku mosiężny świecznik. Tak doszli do przedpokoju. Tu zatrzymali się. Butkowski spojrzał przez „judasza”; na wysokości oczu nie dostrzegł nikogo. Leży – pomyślał. Ostrożnie uchylił drzwi i znieruchomiał.

– Matko rodzona! – jęknęła Katarzyna; zrobiło jej się słabo.

– Mówilem, nie łaź za mną! – burknął gniewnie. – A jak już jesteś, to nie mdlej.

– Wcale nie mdleję – obraziła się.

Odstawiła świecznik, zbliżyła się do drzwi. Butkowski pochylił się nad człowiekiem, który leżał w kałuży krwi na podeście schodów i ujął jego bezwładną rękę. Szukał pulsu. Wyczuł słabe, niemiarkowe uderzenia.

– Żyje – stwierdził. – Dzwon po pogotowie. Daj ręcznik i miskę z wodą.

– Więc co mam robić? Dzwonić, czy iść po wodę?

– Dzwon. Przynieś. Na jednej nodze!

W dawnych latach, kiedy na macie obrywał on albo jego przeciwnik, obserwował udzielających im pomocy lekarzy. Ale wtedy w grę wchodziły siniaki, krwawiący nos czy zwichnięty palec. A teraz leżał przed nim człowiek z kilkoma ranami brzucha i klatki piersiowej. Były zapaśnik, wciąż silny i pełen energii, stał więc bezradnie nad umierającym i nie wiedział, jak mu pomóc. Słyszał, że żona telefonuje do pogotowia ratunkowego, potem z własnej inicjatywy do milicji. Ma rację – pomyślał. – Przecież to jest morderstwo. Wyklócała się chwilę z kimś, kto widać przyjął wiadomość z niedowierzaniem; rzuciła parę mocnych słów, zmiękła i już spokojnie podawała adres. Po chwili pojawiła się w przedpokoju z miską wody i kawałkiem czystego płótna. Uklękła przy rannym, zaczęła delikatnie zmywać krew z jego twarzy.

– To Staroń? – Rzuciła mężowi spłoszone spojrzenie. – Ten z czwartego piętra?

Przytwierdził ruchem głowy. Jacek Staroń mieszkał piętro wyżej, ale nie bezpośrednio nad nimi; zajmował kawalerkę na wprost schodów. Pracował jako elektromonter w jakiejś spółdzielni, nie znali go bliżej. Był sąsiadem spokojnym, grzecznie pozdrowiał, kiedy mijali się przy windzie lub sterczeli cierpliwie w kolejce w sklepie spożywczym. Właściwie wiedzieli o nim tyle co nic.

Butkowski popatrzył na schody, wszedł kilka stopni w górę. – W świetle lamp dostrzegł plamy krwi. Prowadziły aż do otwartych drzwi kawalerki. Stał u wejścia, ale nie przestąpił progu. Bał się, że zادةpcze ślady.

– Jasiek, chodź tu! – Katarzyna przykucnęła obok leżącego, pochyliła się nad nim. – On coś mówi.

Butkowski zbiegł tak szybko, jak pozwalały rozkładane pantofle.

– Panie Staroń! – powiedział, wpatrując się w coraz bielszą twarz rannego. – Słyszysz pan mnie? To ja, sąsiad z trzeciego, Butkowski... Kto pana tak urządził?

Siniejące wargi rozchyliły się z wysiłkiem, powieki drgnęły. Słabnący z każdą chwilą człowiek próbował unieść prawą rękę, ale załedwie poruszył palcami. Katarzynie zdawało się, że patrzy na nią, więc spytała ze współczuciem:

– Panie Jacku, kto pana pobił? Zaraz przyjedzie pogotowie, wezmą pana do szpitala, wszystko będzie dobrze. Ale kto pana pokaleczył?

– Za... karę – wyjęczał świszczącym szeptem.

– Za jaką karę? Na miłość boską, kto pana ukarał? I za co?

Ciało Staronia drgnęło, powieki przymknęły się, głowa opadła na bok.

– Nie żyje? – Katarzyna przeżegnała się i odsunęła: bała się umarłych.

– Może tylko zemdłał. – Butkowski patrzył bezradnie na tężejące rysy zbielełej twarzy. Chyba koniec – pomyślał.

Usłyszeli warkot samochodów, po chwili kroki kilku osób. Zachrypiąła winda, zaraz potem ruszyła druga. Na trzecim piętrze wysiadł lekarz pogotowia i dwaj sanitariusze z noszami. Z drugiej windy wyskoczył sierżant milicji i jeszcze ktoś po cywilnemu. Butkowsky cofnęli się do przedpokoju, Katarzyna narzuciła płaszcz, zrobiło jej się zimno. Lekarz ukląkł przy rannym, ale po chwili wstał i potrząsnął głową.

– Nic tu po mnie – rzekł. – To już trup. Wypiszę świadectwo zgonu. Jak on się nazywa? – spytał, wyciągając z teczek papiery.

Tymczasem cywil podszedł bliżej, popatrzył na umarłego i mruknął coś do podoficera. Ten bez słowa zawrócił w kierunku windy. A cywil wszedł jakoś tak niepostrzeżenie między lekarza i Butkowskich, obrzucił ich uważnym spojrzeniem, zatrzymał wzrok na mężczyźnie i uśmiechnął się lekko.

– Pamiętam pana ostatnią walkę – powiedział z uznaniem w głosie. – Marzec, osiemdziesiąty trzeci, hala Gwardii.

Były zapaśnik zmieszał się, poczerwieniał jak panienka.

– Naprawdę pan opamięta? – spytał z niedowierzaniem.

– Oczywiście. Rozłożył pan tego Koreańczyka w trzeciej minucie. A nie był to łatwy przeciwnik.

– Już nie walczę – mruknął Butkowski.

– Wiem. Po wypadku samochodowym. I tak miał pan szczęście, że wyszedł cało z takiego karambolu. Zderzyło się wtedy pięć wozów. Dwie osoby zabite, reszta ranna.

– Pewnie, że mi się upiekło – przyznał. – Tylko złamana kość biodrowa i lekki uraz czaszki. Wyrzuciło mnie z pasów, rzecz prawie niespotykana. Pękły ścierwa! – Westchnął ciężko, potarł dłonią policzek.

– Tak to było. – Cywil wyraźnie na coś czekał, bo spoglądał to na zmarłego, to na windy.

Lekarz porozmawiał z Katarzyną, mruknął: do widzenia, i pogotowie odjechało. W chwilę potem z windy wysiadło kilku, inspektorów, technik i fotograf.

– Jesteśmy, majorze – zameldował sierżant cywilowi.

Major Szczęsny uśmiechnął się do przybyłych i rozpoczął rutynowe czynności śledcze.

– A doktor Stern? – spytał, nie widząc wśród członków ekipy lekarza medycyny sądowej.

– Idzie schodami – odparł sierżant. – Nie lubi windy. – Roześmiał się i natychmiast spoważniał, bo Stern klnąc pod nosem dotarł na trzecie piętro.

– Lubię czy nie lubię, to moja sprawa – burknął w stronę podoficera. – To ten? – przyklęknął z trudem obok nieboszczyka. – Czy oni koniecznie muszą się zabijać w środku nocy? – zrzędził – Właśnie, mi się śniło coś atrakcyjnego.

– Brunetka czy blondynka? – szepnął któryś, usłyszawszy jednak kilka dosadnych określeń, umilkł i wycofał się na schody.

– Cztery uderzenia nożem – rzekł lekarz do Szczęsnego, – Śmierdzi jakimś środkiem chemicznym, pewnie go przedtem oszołomili. Nóż długi, może kuchenny. To wszystko, na razie.

Major w zamyślenia przyglądał się zabitemu. Ubrany w szarą flanelową piżamę z granatowym obramowaniem na mankietach, bosy, z jasnymi włosami rozrzuconymi dokoła głowy – na oko nie miał więcej niż trzydzieści parę lat. Twarz okrągła, teraz blada, ale ze śladami letniej opalenizny, nos mały, usta pełne. Na rękach trochę starych zadrapań i blizn. Zastygła krew tworzyła szeroką czarną plamę na piersiach i brzuchu.

– Kto go znalazł? – Szczęsny spojrzał na Butkowskiego. – Pan?

– Tak. Żona usłyszała, że coś się dzieje na schodach i...

– Proszę od początku – zwrócił się do Katarzyny, a ekipie dał znać spojrzeniem, aby weszła na górę. – Zaraz tam przyjdę. Więc? – Czarne wąskie oczy oficera patrzyły teraz już tylko na kobietę.

Odchrząknęła, poprawiła rozchylający się płaszcz i trochę onieśmielona zaczęła mówić:

– Zbudził mnie hałas na schodach. Ktoś zbiegł z góry...

– To były głośne kroki, w obuwiu, czy ciche? – przerwał.

– Głośne. Na pewno był w butach. Potem stuknęły drzwi frontowe i...

– Na pewno frontowe? – znowu przerwał. – A może któreś na parterze?

– Nie – odparła stanowczo. – Te wejściowe okropnie skrzypią, my już je znamy. A potem usłyszałam samochód, jak odjeżdżał. To znaczy, najpierw ktoś zapuścił silnik, potem warkot, coraz cichszy. Dlatego mówię, że nie przejeżdżał, ale musiał stać przed domem. Pracuję w zajezdni autobusowej – dodała – to się trochę znam.

– Doskonale. A potem?

– Już miałam zasnąć, a nawet chyba przysnęłam, kiedy coś zaczęło szurać na schodach. I ktoś jęczał. Pod naszymi drzwiami. Więc zbudziłam Jaśka, znaczy męża.

– Otworzyłem – podjął Butkowski. – Zobaczyłem, że leży. Mieszka piętro wyżej, musiał się jakoś zsunąć po schodach, ale już nie dał rady zadzwonić. Trochę go znamy. Jacek

Staroń, elektromonter. Właściwie – zastanowił się – nawet nie wiem, gdzie pracuje. Tak tylko, po sąsiedzku, czasem przywitaliśmy się. Spokojny, nigdy żadnych awantur. Chyba kawaler, bo sam mieszkał.

– Czy ktoś go odwiedzał? Miał rodzinę?

Butkowski bezradnie rozłożył ręce.

– Dobrze, dziękuję – rzekł major. – Proszę jutro... to znaczy dziś przed południem, przyjść do Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych. No, do Komendy Stołecznej – uśmiechnął się – na Nowotki. Trzeba będzie podpisać protokół zeznań. Najlepiej o dziewiątej. Do biura przepustek. Stamtąd ktoś państwa do mnie przyprowadzi.

Popatrzył, jak dwaj pracownicy zabierają ciało do karetki przewożącej umarłych, i znów przeniósł wzrok na Butkowskich.

– Można? – spytał i nie czekając na odpowiedź wszedł do ich mieszkania. Zanim zorientowali się, o co mu chodzi, obrzucił uważnym wzrokiem przedpokój, zwłaszcza ściany i podłogę, to samo zrobił w obu pokojach, kuchni i łazience, potem wyszedł i po dwa stopnie na raz wbiegł na czwarte piętro.

– Po co on do nas wchodził? – spytała Katarzyna. – Szukał kogoś?

Były zapaśnik wzruszył ramionami.

– Śladów – odparł zwięźle.

– Jakich śladów?

– Aleś ty głupia! No, morderstwa. Przecież to ja mogłem go zadźgać, a potem udawać niewinnego.

– Ty?! – wykrzyknęła z oburzeniem. – Co on, zwariował?

– Nic nie rozumiesz. Dla milicji każdy jest podejrzany, zanim nie znajdą właściwego. No, chodź do łóżka.

Major Szczęsny zatrzymał się w progu kawalerki. Jak zwykle najpierw tylko patrzył, układając w myślach – po kawalku, stopniowo – obraz tego, co mogło się wydarzyć. Bo w przypadkach zabójstwa różnie bywało. Czasami w mieszkaniu panował idealny porządek, spokój, przytulny komfort. I w takim „komforcie” znajdował trupa umieszczonego, powiedzmy w tapczanie lub wciśniętego między walizki w pakamerze! Czasami tylko łazienka świadczyła o dramacie, jaki się w niej rozegrał, i zwłoki leżały w wannie albo pod nią. Czasami znów mieszkanie wyglądało, jakby przeszedł przez nie huragan – połamane sprzęty, stłuczone lampy i wazon, zerwane firanki, krew na podłodze. Dwa lata temu w takim lokalu nie było ofiary morderstwa, choć wszystko wskazywało, że zabito w nim człowieka. Nie znaleziono zwłok do dziś.

– Musiała tu się odbyć niewąska szarpanina – zauważył sierżant, wychodząc z kuchni. – Facet się bronił jak jasna cholera! Dostał chyba tym. – Pokazał długi kuchenny nóż ze śladami krwi.

– Były linie?

– Tak. Zdjęte. A w ogóle to zabójca jakby umyślnie pozostawił wszędzie kupę śladów. To znaczy... – umilkł zmieszany.

– Jeżeli to rzeczywiście odciski jego palców – mruknął Szczęsny.

Z pokoju wyrzwał technik, specjalista od daktyloskopii.

– Do tej pory natrafiłem tylko na dwa rodzaje – rzekł. – Męskich raczej. Duże, wyraźne. Najwięcej, starych i świeżych, właściciela. Zdjąłem mu z palców, zanim zabrali zwłoki – uprzedził pytanie. – Tych drugich sporo w przedpokoju i w łazience. Mył się, nawet nie spłukał dobrze umywalki. Zostały smugi krwi na brzegach. I plamy na ręczniku. Dwa dobre ślady butów na gumowej podeszwie.

Major wszedł ostrożnie do pokoju. Ekipa jeszcze pracowała. Fotograf rozglądał się właśnie, jakby szukał, co pozostało mu do zrobienia. Wnętrze świadczyło, że toczyła się tutaj rozpaczliwa walka o życie. Staronia musiano zaskoczyć we śnie, bo pościel była

zakrwawiona i zwinięta w kłębek. Gdyby zbudził go dzwonek czy stukanie, pewnie by wstał, włożył pantofle i podszedł do drzwi. A on obudził się chyba dopiero wtedy, kiedy przestępca, jeden lub dwóch, wszedł do pokoju.

– Bronił się – potwierdził sugestie podoficera.

– Jeżeli było ich dwóch, drugi mógł mieć rękawiczki.

– Nie było dwóch – zaprzeczył inny oficer. – Ślady butów wskazują na jednego zabójcę. Przecież tu pełno krwi na podłodze, ale zdeptana tylko jednymi butami. A trup był boso.

– Panie majorze! – doleciało ze schodów. – Chcę coś powiedzieć.

Butkowski stał w progu, starając się nie patrzeć na podłogę. Szczęsny zbliżył się do niego.

– Słucham?

– On przed śmiercią powiedział dwa słowa. Więcej już nie mógł. Powiedział: „Za karę”.

– Za karę? – powtórzył oficer ze zdziwieniem. – Dobrze pan słyszał?

– Oboje z żoną słyszeliśmy. Zaraz potem zamknął oczy i już nie żył.

– Dziękuję. Niech pan nie zapomni przyjść rano o dziewiątej. Żona również.

Szczęsny chodził po niewielkim mieszkaniu, próbując na podstawie jego wyglądu określić, choćby w przybliżeniu, osobowość właściciela. Z dokumentów, które znalazł w wiszącej na krześle marynarce, wynikało, że Jacek Staroń pracował jako elektromonter w znanej spółdzielni „Jutrzenka”; wytwarzano w niej drobne części zamienne do mechanicznego sprzętu gospodarstwa domowego oraz miksery i młynki elektryczne. Miał trzydzieści dwa lata, stan wolny, na książeczce PKO nieco ponad sto sześćdziesiąt tysięcy. Mieszkanie urządzone przeciętnie – tapczan, parę krzeseł, biurko, szafa, mała biblioteczka, kolorowy telewizor rubin i radio. Wypływałe zasłony w oknach, stary dywanik koło tapczana, usychający kwiat w doniczce. Żadnych pamiątek, fotografii. Jak w hotelu.

Major wyciągał po kolei trzy szuflady biurka. Trochę listów od kobiet, wycinki z gazet dotyczące motoryzacji, przybory kreślarskie, zeszyty ze słówkami angielskimi i podręcznik do nauki tego języka. Jeszcze jakieś sznurki, obcęgi, śrubokręty... W trzeciej szufladzie coś go zastanowiło. Była pusta, bez śladu kurzu. Wyglądała, jakby niedawno wyjęto stąd papiery albo jakieś przedmioty. Przyglądał się jej uważnie: w wąskiej szparze pomiędzy dnem a brzegiem tkwił mikroskopijny kawałek papieru.

– Dajcie pincetę! – powiedział do techników.

Któryś podał mu dwie do wyboru, mniejszą i większą. Szczęsny bardzo ostrożnie, aby nie uszkodzić, wyjął papier ze szpary.

– Lupe! – zażądał, coraz bardziej zaciekawiony.

Potem długo patrzył przez szkło powiększające na swoje znalezisko. Urwany brzeżek w kształcie nierównego trójkąta zapisano dwiema kolumnami cyfr, trzecia miała chyba tylko początek.

– Na maszynie – mruknął sierżant, zaglądając mu przez ramię.

– Maleńka czcionka. Na co mu to było?

– Właśnie! – Major przywołał całą ekipę i pokazał skrawek papieru. – Widzicie? Proszę dokładnie, cholernie dokładnie, sprawdzić lokal. Szukamy czegoś podobnego. Może to być kartka, notes, bloczek. Niechby nawet strzępek.

– Liczył coś? – zastanawiał się sierżant; rozejrzał się po pokoju. – Tutaj maszyny nie ma. Może w pracy?

Szukali parę godzin, ale nie znaleźli żadnych papierów z kolumnami cyfr. W ogóle nic, co mogło wzbudzać podejrzenie, że Jacek Staroń zajmował się czymś innym poza pracą elektromontera.

– Więc tak – Szczęsny, nie zaglądając do notatek, zdawał sprawozdanie szefowi wydziału kryminalnego, pułkownikowi Daniłowiczowi. – Staroń został napadnięty w nocy, gdzieś między pierwszą a drugą. Pewnie nie słyszał, jak zabójca otwiera drzwi podrobionym

kluczem, bo śladów włamania nie ma. Chyba nie słyszał też, jak wchodzi do mieszkania. Może miał mocny sen, może zasnął po większej dawce alkoholu, sekcja wykaże. Tamten musiał mieć nóż ze sobą; dwa kuchenne znalazłem w kredensie. Dziwne, że swój porzucił na miejscu zbrodni. Staroń zbudził się... nie wiem, czy od razu, czy w parę sekund po wejściu zabójcy, na tyle wytrzeźwiony, że zaczął się bronić, walczyć o życie. Świadczy o tym wygląd pokoju: wszystko poprzewracane, stłuczona lampa. Pierwszy cios dostał jeszcze na tapczanie albo w pewnym momencie tamten go na tapczan przewrócił. Cztery uderzenia w brzuch i w pierś. Stern wywąchał u nieboszczyka środek chemiczny, pewnie go wpierw czymś takim oszołomili. Sąsiedzi z piętra niżej słyszeli, że ktoś zbiega po schodach, potem odjeżdża samochodem. Widać był tak pewny swoich ciosów, że nawet nie sprawdził, czy Staroń nie żyje. Może bał się hałasu lub lokatorów. Ale przed ucieczką przeszukiwał szuflady biurka i chyba coś stamtąd zabrał. Tymczasem Staroń jeszcze żył. Wyczołgał się na schody, jakimś cudem dobrnął do mieszkania Butkowskich. Ich zeznania masz tam spisane. Mnie teraz zastanawia to. – Położył przed pułkownikiem przezroczystą folię, a w niej mały strzępek papieru.

Daniłowicz przyglądał się folii przez chwilę.

– Było w mieszkaniu radio? – spytał.

– Było.

– Jakiej marki?

– Grundig jachtboy siedemset.

– Wiesz, co to jest – wskazał palcem folię.

– Domyślam się. Nie dla nas robota.

Pułkownik zawahał się, postukał fajką o popielniczkę. Nie lubił oddawać spraw, które wydarzyły się w stolicy, w mieście, za które odpowiadał z punktu widzenia bezpieczeństwa zwykłych obywateli; miał najwyższą w kraju wykrywalność zabójstw. Był jednak długoletnim, doświadczonego, nieco zgorzkniałym oficerem milicji, dlatego już w momencie kiedy przyjrzał się strzępkowi papieru, wiedział, że trzeba tę sprawę przekazać komuś innemu. W najlepszym razie współpracować. Tego też nie lubił, zazdrosny o sukcesy swoich podwładnych.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI